



116 CzasKultury 5/2011

# Który skrzywiłeś człowieka prostego

z Marcinem Świetlickim  
rozmawiają Emilia Kledzik i Joanna Roszak

fot. Jakub Żmizdiński



Nie czytam  
poezji.  
Nie będę udawał,  
że interesuję się  
eseistyką.  
Nigdy w życiu  
nie napiszę felietonów,  
esejów...

Za przeprowadzaniem wywiadów kryje się rodzaj bezinteresownej dociekliwości. Przed nami trudne zadanie. Wiemy wszak, że mistrz [używamy „imienia” z kryminałów Świetlickiego] tego nie lubi. A jednak chętnie wypowiada się na tych i owych łamach.

Bardzo niechętnie. Często jestem do tego przymuszany. Z paniami wcale nie muszę. Ale mam taki kaprys.

Skoro musimy od czegoś zacząć – dlaczego by nie od Pana patriotyzmu? To jeden z narzucających się tematów. Stanisław Jerzy Lec pisał we fraszce: „– Czy jesteś patriotą? / – Zależy, kto pyta”. Podmiot Pana wiersza powie: „Niczego o mnie nie ma w Konstytucji”, nierzadko pogrywa Pan ze słowami hymnu („Jeszcze Polska nie zginęła w ciemnościach”). Jak to jest z patriotyzmem Świetlickiego?

Nie nazywałbym tego patriotyzmem. To raczej dziwaczne zaangażowanie. A z fraszką Leca całkowicie się utożsamiam. Zwłaszcza teraz, bo czasy są takie, że trzeba się opowiedzieć po jakiejś stronie. To prawda, że zależy, kto pyta. Przede wszystkim nigdy o sobie jako o patriotcie nie myślę. Ale czasami muszę zająć jakieś stanowisko. Są poeci, którzy w ogóle się takimi kwestiami nie przejmują. Ale dotyczą one człowieka niemalże codziennie... Dobrze, że nie mam telewizora i nie czytam gazet, bo wtedy musiałbym częściej się opowiadać, czy jestem

patriotą, czy nie. W wierszach, ale także w prozie, bardzo często dotykam spraw społeczno-politycznych. Był taki moment, że pravicowcy myśleli, że jestem ich; był taki moment, że lewacy myśleli, że jestem ich. Ale kiedy ktoś uważa, że jestem jego, to ja robię unik i idę w drugą stronę. W tym momencie zarówno typowi pravicowcy, jak i typowi lewicowcy mnie bardzo denerwują, ale i centrum mnie też denerwuje...

Unikiem było na przykład nieprzyjęcie Paszportu „Polityki”?

Dali mi ten Paszport chyba w drugiej edycji konkursu...

Tak, w 1994...

Wszyscy mi wtedy mówili, że to nie fajne brać taki Paszport. Takie były czasy. A potem ci sami zaczęli brać te Paszporty, pracować w tym piśmie... Ludzie nie mają pamięci. Albo udają, że nie mają. Poza tym to nie były żadne pieniądze. A w dodatku nie chciało mi się po prostu jechać do Warszawy i uczestniczyć w jakiejś imprezie, oglądać tych buziek.

Czy dobrze rozumiemy, że teraz przyjąłby Pan Paszport?

Nie, tym bardziej nie. W „Polityce” o każdym, kto dostał Paszport, piszą później: „to nic dziwnego, że napisał taką dobrą książkę, nagrał taką płytę, zrobił taki film, bo przecież jest naszym laureatem”. Podejrzewam, że kiedy ten ktoś będzie umierał, przedstawiciel „Polityki” będzie stał ze specjalną tabliczką i do grobu ją przypinał: „umarł laureat”.

Ale przecież wszyscy mecenas tak robią. Nie widzę w tym przykrew praktyki. Nie wierzę, że na przykład w Gdyni nie mówią: o, nasz Świetlicki, daliśmy mu nagrodę. A Gdynię Pan wziął.

Po prostu był taki czas, że wszyscy mówili: „nie wypada”. Dopiero później zaczęło to imponować. Ale mnie takie rzeczy nie imponują nigdy. +

Czyli nie przyjąłby Pan, choć teraz już z innych pobudek niż kilka lat temu.

Nagradzanie zawsze wiąże się z dużym stresem i z dużymi kłopotami. Owszem, dostałem w zeszłym roku nagrodę Gdyni i miałem z tego powodu więcej kłopotów niż radości. Kłopoty polegały na tym, że nie mam konta, a oni żądali, żebym sobie założył. Uparłem się, że nie założę. W dodatku jeszcze większa liczba osób mnie zniechęciła. Naprawdę nie jest moim celem denerwowanie swoimi sukcesami Kazimierza Szczuki i Kingi Dunin albo nieudanych poetów.

Krytyka literacka, opisując przełom, wskazywała, że jednym z podstawowych elementów nieistniejącego manifestu młodych poetów i prozaików, którzy tworzyli polską scenę literacką krótko po 1989, był brak poczucia przynależności do zaściankowo pojmowanego paradygmatu romantycznego. Pan się z problemem polskości boryka nieustannie. Na przykład w Pogo ubolewa Pan nad polską ksenofobią, w wierszu K pisze Pan, że umarł dla państwa, a jednak państwo wciąż nachalnie ingeruje w Pańskie życie pośmiertne. Nie tęskni Pan do takiej porządnej Polski, z której byłby Pan dumny? Takiej Polski nigdy nie znałem. Porządek [śmiech] był w czasie stanu wojennego, ale za taką Polską nie tęsknię. Tak naprawdę mógłby to być każdy inny kraj, pod warunkiem, że mówiłoby się w nim po polsku. Nie piszę utopii. Bywają w życiu momenty, gdy człowiek czuje się Polakiem i nic, i nikt mu w tym nie przeszkadza: znajduje się w jakimś pomieszczeniu, w jakimś towarzystwie, nie ma żadnego zgrzytu, w letni wieczór, na przykład, wszyscy są mili, mówią ciekawe i wesołe rzeczy. Wtedy człowiek czuje się na miejscu. Nie wyobrażam sobie takiej Polski, ale czasem jej doświadczam. To się dzieje przypadkowo, nie można tego zaplanować.

Ale Pan nieustannie pisze, co mu się w tym kraju nie podoba.

Jestem człowiekiem szalenie wesołym, optymistą, jasnowidzem, a nie czarnowidzem. Całymi dniami żartuję. Naprawdę nie znam nikogo bardziej wesołkowatego ode mnie. Ale jako czytelnik zrozumiałem, że książki smutne, piosenki smutne i obrazki smutne bardziej kręcą publiczność.

Nie tęsknię za „jakąś” Polską. Jest, jaka jest. Protestując, wcale nie żądam zmian, bo nie jestem rewolucjonistą, tylko raczej kontestatorem. Wiem, że rewolucja to też nic dobrego. W powieści Wszystko jest Macieja Malickiego znajdujemy fragment: „W przyszłym tygodniu będzie koncert Ś. – Przecież on nie żyje. – Jezus Maria, co ty mówisz? Ś. nie żyje? – Widziałem, jak umarł. Byłem miesiąc temu na jego koncercie. Kiedy wszedłem na widownię, na scenie leżał w ciemnych okularach, czarnym swetrze i czarnych spodniach, wił się i krzyczał do mikrofonu: «Umarłem, umarłem»”. Niemalże jest czerni w Pana wierszach. A śmierć i świat to słowa z samej góry listy frekwencyjnej. Bo są na literkę „ś”. Wszystkie wyrazy na literkę „ś” są mi bliskie.

W Cenie pisze Pan, że przyszłość to rozkład, w wywiadzie wspomina, że nic Pana nie uszczęśliwia. Karol Maliszewski w szkicu Rzewne jaja, powtarzając tytuł Pana wiersza, podkreśla, że ostatnie tomy Świetlickiego tylko udają bez troskę. Czuję się Pan melancholikiem? Jestem człowiekiem szalenie wesołym, optymistą, jasnowidzem, a nie czarnowidzem. Całymi dniami żartuję. Naprawdę nie znam nikogo bardziej wesołkowatego ode mnie. Ale jako

czytelnik zrozumiałem, że książki smutne, piosenki smutne i obrazki smutne bardziej kręcą publiczność. Wszystkie dramatyzy i tragizmy, które umieszczam w książkach, biorą się z wyuczania rynku.

Nigdy w to Panu nie uwierzymy! Droczy się Pan z nami! Marcin Świetlicki pisze pod publikę! Nikt w to nie uwierzy!

To nie jest sprawa pisania pod publikę. Wolę smutne piosenki od wesołych piosenek.

Jako czytelnik.

Jako czytelnik też. Smutek jest szalenie atrakcyjny. Wesołkowatość, owszem, jest znakomita, ale tylko na wysokim poziomie.

Podałby Pan przykład takiego wielkiego satyryka?

Na przykład George Bernard Shaw albo Jeremi Przybora. Jest ich sporo. Ale chodzi o to, że smutnych i jednocześnie wybitnych autorów znam dużo więcej.

Czyli nie zamierza Pan pisać aforyzmów i limeryków?

Potrafiłbym to robić, ale nie sprawiałoby mi to przyjemności.

Pisze Pan w jednym ze swoich wierszy: „Do kogo mówię? Bo mówię – i przecież mówię po polsku”. Umiąłby Pan pisać nie po polsku, nie dla Polaków?

Nie, to dość bolesne. Znam mnóstwo literatów dumnych z tego, że są przekładani. Ja ani się tym przejmuję, ani się tym chwalebę. W zeszłym roku ukazał się wybór około stu moich wierszy po estońsku. Nigdy w Polsce nie miałem takiej obfitej książki. Co z tego jednak, skoro to zupełnie obcy język. Otworzyłem ją raz, zamknąłem i leży gdzieś tam... Często chcą ze mną współpracować tłumacze, mnie zaś jest wszystko jedno, jak przełożą moje wiersze. Mogą się mylić. Sam się często w moich wierszach myślę. Współpraca z tłumaczami jest dla mnie kompletnie jałowym zajęciem.

Wie Pan, jak sprzedają się Pańskie książki w innych krajach?

Wydawano mi wiersze wyłącznie w małych krajach. Tłumaczenia w gazetach i antologiach ukazały się w wielu miejscach, natomiast książki wyszły na Słowacji, w Słowenii, w Chorwacji, w Serbii, w Estonii, w Finlandii... Moje książki w małych nakładach czytają małe narodzi.

Czyli nie interesuje Pana, jak czyta go obcojęzyczna publiczność.

Mnie nie przejmuje nawet to, jak czytają mnie Polacy. Przepraszam.

A słyszał Pan, jak czytają Pana w szkołach? Pana wiersze znajdują się w większości podręczników do trzeciej klasy liceum, ale można je znaleźć także już w programie dla gimnazjum (np. Do Itaki wydawnictwa Znak).

Ho, ho, ho, nigdy dotąd nie publikowałem w Znaku! Myślałem, że tam publikują wyłącznie lepsi i poprawniejsi niż ja. A z tymi podręcznikami to jest tak, że co jakiś czas dostaję informację, że gdzieś tam znajdzie się mój wiersz, najczęściej Dla Jana Polkowskiego. Nie rozumiem, dlaczego akurat ten. Proszą mnie, bym wyraził zgodę na nieodpłatne publikowanie itp. Kiedyś postanowiłem odmówić, a odpisali, że i tak się ukaże. Mój syn uczy się teraz w drugiej klasie liceum. Bogu dzięki, raczej jeszcze nie „przerabiał” mojego wiersza albo nie był na tych zajęciach. Na razie więc boleśnie tego nie odczuwam, dopadnie to mnie dopiero, kiedy syn będzie musiał coś ze mnie napisać. I sobie pomyślałem, że jak będzie musiał zrobić analizę mojego wiersza, to pewnie przyjdzie do mnie. Ja, żeby dziecku pomóc, wytłumaczę mu albo sam napiszę. Prawdopodobnie dostanę niską ocenę.

Trzy minus. Gorzej jeśli na maturze Świetlickiemu trafi się Świetlicki.

Kiedyś, dawno temu, pewien młodszy kolega poprosił mnie, żebym mu pomógł, bo pisał coś o „bruLionie”. Pomogłem mu i został oceniony +

negatywnie. Chyba nie znam się na tym. Albo nie mówię tym językiem, którego się oczekuje.

Miał Pan okazję porozmawiać z Polkowskim o swoim wierszu?

W ogóle z nim nie rozmawiałem. Pierwszy raz widziałem go chyba w zeszłym roku. Nie było powodu, żebym się z nim kontaktował. On zresztą udzielił jakiś czas temu bardzo lekceważącego wywiadu na temat tego wiersza w „Tygodniku Powszechnym”. Coś w stylu, że dla takich jak ja wolność to większy wybór alkoholi. Kilka miesięcy temu we Wrocławiu byliśmy nominowani do nagrody Silesius. Nie pojechałem, bo mi się nie chciało, ale okazało się, że on też nie pojechał. Wszyscy pozostali nominowani się zjawili. Zostało to odebrane tak, że widocznie nie chcieliśmy się spotkać.

Nawiązując do nieprzyjemnego doświadczenia oglądania własnego nazwiska w podręcznikach, chciałobyśmy zapytać Pana o „bruLion”. Choć wiemy z innych wywiadów, że zwykle kwituje to Pan prostym zdaniem...

Bardziej byłem w Ludowym Wojsku Polskim niż w „bruLionie”. To był krótki, dwu-, trzy-letni sezon, kiedy od czasu do czasu kontaktowałem się z redakcją. Ale ani oni mnie nigdy nie uważali za jakiegoś specjalnego członka tego pisma, ani ja ich za kogoś dla mnie szczególnie ważnego... Opublikowałem tam kilka wierszy, nic więcej.

O to zdanie chodziło. Jak wytłumaczyłby Pan w takim razie fenomen polegający na tym, że kiedy współczesna polska młodzież słyszy „bruLion” – mówi „Świetlicki”?

Zadebiutowałem, to prawda, książką poetycką wydaną w pierwszej serii „bruLionu”. To właśnie książka mnie bardziej wiąże, a nie samo pismo.

A nie pokrewieństwo idei?

Pewne pokrewieństwo idei, owszem, istniało. Zetknąłem się z „bruLionem” w roku 1990 i moje kontakty potwały, powiedzmy,

do 1994. Polegały one na tym, że kiedy byłem potrzebny Robertowi Tekielemu, to mnie wykorzystywał. Natomiast kiedy on był potrzebny mnie, to nie dawał się wykorzystywać. Kiedy wydałem w Poznaniu drugą książkę, w Bibliotece Czasu Kultury, potraktowano to jako zdradę, zostałem odszczerpieńcem i już nie byłem bruLionowy. Tak jakby człowiek na całe życie musiał się wiązać z jedną ideą i jednym wydawnictwem!

A jaka idea wiązała was na początku?

Chaos. Tekieli angażował się we wszystko, za co się brał: kiedy pisał o narkotykach, znał się na nich świetnie, kiedy pisał o Bogu, znał się na Bogu i tak dalej. Zawsze byłem mniej chuliganem niż najwięksi chuligani z „bruLionu” i mniej konserwatystą niż najwięksi „bruLionowi” konserwatyści. Pozostały sympatie do niektórych redaktorów i poetów związanych z tym pismem. I tyle.

Dla nas, urodzonych na początku lat 80., zjawisko „bruLionu” nie jest najłatwiejsze do ogarnięcia. Nie do końca na przykład rozumiemy, co tam robił Himmler.

Pierwszy numer pisma był potwornie grzeczny, zbierał teksty ludzi związanych z trzecim czy piątym obiegiem. Dopiero później zaczęły się pojawiać teksty, które nigdy w polskiej prasie z różnych powodów – obyczajowych, politycznych – nie miały racji bytu. Po prostu groch z kapustą. Cezary Michalski, najpierw czołowy prawicowiec, teraz czołowy lewak, wtedy był anarchistą i pod pseudonimem wypisywał takie rzeczy, że dziś nie mieści się w głowie... pochwalne hymny na temat aborcji na przykład. Później się okazało, że jest przeciwko, teraz chyba znowu jest za. To pismo jednoczyło dziwne osobowości, jak choćby Krzys Koehler, który jest poważnym konserwatystą, wierzącym pisarzem, oraz kompletny wariat i awangardysta Paweł Filas. Wszystko się jakoś przynikało, ci ludzie jakoś ze sobą współpracowali

i rozmawiali. To Filas wymyślił hasło: „Tylko boks zbliża ludzi”. Ale wtedy ten boks był jeszcze bezkrwawy. Później pojawiła się krew, bo nagle Tekieli uznał, że jestem wysłannikiem szatana. Ten groch z kapustą, kiedy się patrzyło na spis treści tego pisma, imponował. Bo inne pisma nudziły, w kulturze też było dosyć nudno. Miałem szczęście, że z debiutem załapałem się na moment przełomu. Gdybym zaczął pięć lat wcześniej albo pięć lat później, wcale nie zostałbym zauważony. Nie planowałem tego, wiersze pisałem od wielu lat. Ale miałem świadomość, pisząc je dużo wcześniej, że one nie są do publikowania, bo nikt ich nie zechce. Przyszedł moment, kiedy je chciano i już.

Jan Dzban, artysta, który ukrywa swoją tożsamość, urodzony ponoć na przełomie lat 40. i 50., poświęcił Panu dwa opowiadania („Ten wielki poeta siedział sam na rogu rynku, przy ostatnim straganie i coś notował. Aby lepiej wyrazić swój ból, pisze palcem przebitym szpilką”). Interesuje go mit Świetlickiego i zjawisko mówienia Świetlickim. Znam dzieciaki, które powtarzają „Hare hare supermarket, hare, hare, cmentarz”, i nie wiedzą nawet, że mówią poetą. „Hare, hare supermarket” to cytata, przeniosłem go z piosenki pewnego Australijczyka. A co do mówienia moim językiem, to na przykład książka Bartosza Muszyńskiego *Języki obce* jest w całości napisana moim slangiem...

To przyjemne, to drażniące?  
Może być przyjemne i jednocześnie drażniące. Tysiąca różnych twórców nikt nie podrabia i to źle o nich chyba świadczy. Jeśli ktoś jest niepodrabiany, to znaczy, być może, że jest niezauważany lub nieciekawym. Z drugiej strony, jeśli człowiek mówi do mnie cytatami ze mnie i inaczej nie potrafi (np. siedzę, a on mnie pyta, czy jestem przysiadalny), to już nieprzyjemna żenada. Można sobie pomyśleć, że ludzie nie mają od siebie już nic do powiedzenia. Ale niekiedy sprawia to przyjemność. Czasami zapi-

suje jako refren całkiem banalne zdanie, a potem się okazuje, że ludzie nim mówią.

Czyli mógłby Pan być autorem sloganów reklamowych.

Mógłbym. Ale mi się nie chce.

Są takie teksty, które Pan pisze jako wiersze, i inne, które powstają jako piosenki?

Na początku naszej działalności muzycznej brało się już gotowy tekst, później, z czasem, zacząłem wyraźniej rozdzielać, że to jest wiersz, a to jest tekst do muzyki. Kiedy wydałem nową książkę, basista Grzegorz pyta mnie, ile zawiera piosenek. Mówię, że żadnej, i on jest wtedy załamany. Już teraz chyba wyraźnie rozdzielam, co jest piosenką, a co wierszem.

I częściej pisze Pan piosenki czy wiersze?

W ogóle nie piszę teraz piosenek. Jest problem: przestałem pisać piosenkowo.

A jednak wszędzie Świetlickiego pełno i wciąż objawiają się kolejni Świetliccy: mistrz, rockman, poeta, grafik... Jak by Pan to wyjaśnił?

Nerwica. Miałem trzydzieści lat i, będąc z natury człowiekiem bardzo nieśmiałym, nagle rzuciłem się na głęboką wodę. Nie dość, że wydałem książkę, to jeszcze w tym samym momencie wylazłem na scenę i zacząłem do ludzi wrzeszczeć. To w moim charakterze nie leży: pokazywanie się i wystawianie na widok. Po każdym wystawianiu się na widok publiczny mocno cierpię, nie mam tremy przed występem, natomiast mam po. I do tego wyrzuty sumienia, mnóstwo wątpliwości i wewnętrznych kłopotów. Taka dwoistość wynika z nerwicy. Naturę mam zupełnie pustelniczną, a wyłażę do ludzi. Mam pustelnię, ale zostawiam ją pustą. Dzisiaj najchętniej siedziałbym w domu i pisał następną powieść. Sam sobie wyznaczyłem, że mam tyle a tyle dziennie pisać, ale tego nie robię, bo dziś się poumawiałem z ludźmi. +

Tylko to z życia mam,  
co zobaczę w oczach  
ludzi i co od nich usłyszę.  
Cały czas muszę się  
sprawdzać

Pewnie jutro też się będę umawiał, wystarczy, że ktoś zadzwoni, to wyjdę. Chętnie siedziałbym w pustelni, ale z drugiej strony, gdybym siedział w pustelni, przestałbym istnieć. Tylko to z życia mam, co zobaczę w oczach ludzi i co od nich usłyszę. Cały czas muszę się sprawdzać. Ujawniam różne nieprawdziwe twarze. Czasami wręcz zarzucają mi pewien rodzaj celebryckości, ale celebrytowość polega chyba na czym innym... Mam z tym pokazywaniem się problem, bo właściwie nie chciałem tego robić, a robię.

Jeśli dobrze rozumiemy, tą samą nerwicą można było wytłumaczyć Pańską plastyczność w dopasowywaniu się do gustów publiczności. Gusta publiczności są zupełnie inne niż to, co robię. Gdybym chciał się do nich dopasować, pisałbym co innego, robilibyśmy muzykę zupełnie inaczej. Chłopcy z zespołu, będąc rzemieślnikami-artystami, czasem dostają propozycje, by zrobić coś dla ludzi. Ja od tego uciekam i uciekam od propozycji występowania w niektórych miejscach. Gdy występowałem w telewizji, to prowadziłem nie teleturniej, tylko program kulturalny. To był pewien rodzaj przygody. Źle się z tym czułem, ale próbowałem. Robiłem różne rzeczy, które właściwie były wbrew moim potrzebom. Z ciekawości. Moimi przygodami można by obdzielić kilka ludzkich istnień. Są autorzy paru książek z wierszami, którzy przy tych wierszach będą uparcie trwali. Dla mnie to za mało. Muszę jeszcze operę napisać i różne inne rzeczy. W fil-

mie niby zagrałem, ale tak naprawdę nie zagrałem, tylko paliłem papierosy. A to umiem robić.

Marcin Świetlicki, Palenie: „Pytam: dlaczego niepalący / wsiadają bez skrępowania do przedziałów / dla palących? Czemu chcą dominować? Czemu / są wiecznie urażeni?”. Teksty Pana i Katarzyny Nosowskiej należą do ważnego paradygmatu literatury papierosowej. Papieros jest także istotnym rekwizytem w wierszach. Na obrazie Marcina Maciejowskiego Trzy podstawowe pozycje wokalisty na przykładzie Marcina Świetlickiego integralnym elementem pozy jest papieros. Zgadza się Pan ze zdaniem Szyborskiej, że Czarodziejska góra nie może powstać bez papierosów?

Na scenie palę dziesięć razy więcej niż poza nią, żeby coś tym pokazać. Są miejsca, w których nie wolno palić, a ja tam palę. Bardzo lubię, jak Bogart w filmie wyjmuje papierosa i go zapala, lubię kobiety, które palą w starych filmach. Pali człowiek niezdrowy, człowiek ze skazą, człowiek przegrany. Nie chciałem być przegrany niepalącym, wolę być przegrany palącym. James Dean z papierosem, Bogart z papierosem, wszyscy francuscy aktorzy palący gauloisy. To rodzaj wizerunku.

A co Pan udowadnia tym wizerunkiem?

Nie wiem. Stałem się specjalistą od papierosów. Kiedy obchodzi się Dzień bez Papierosa, dzwonią dziennikarze, żebym coś powiedział. Udzieliłem już tysięcy wywiadów na temat papierosów i za każdym razem coś nowego wymyślałem, tym razem mi się nie chce [śmiech].

Nie planuje Pan rzucić palenia?

Nigdy nie rzucę! Mój ojciec palił całe życie, rzucił trzydzieści lat temu. Dwadzieścia lat później dostał raka krtani. A mógł przez te dwadzieścia lat jeszcze popalić.

Jak każdy prawdziwy poeta demonstruje Pan swoją niechęć do popkultury...

Ależ ja lubię popkulturę.

Ale TVN-u Pan nie lubi.

To nie jest popkultura. To sumienie narodu.

I znów się droczy! Wracając do pytania: pozostaje Pan pozornie w kontrze do kultury popularnej, ale jednak dyskretnie z tym nurtem podąża.

Tak. Ale bardzo dyskretnie.

Dostrzegamy dwa momenty w Pana karierze artystycznej, kiedy tę tendencję widać wyraźnie: umuzyycznienie poezji i jej transformację w najpopularniejszy ostatnio gatunek powieściowy, czyli kryminał.

Proszę zauważyć, że mówiono również, iż sprzedaje się tyle moich książek, bo kupują je również słuchacze moich płyt. Jednak paru poetów pozakładało zespoły, a ich utwory wcale nie sprzedają się odtąd lepiej.

Nie zarzucamy Panu działań świadomie marketingowych, lecz jedynie dzielimy się pewną obserwacją, że te zmiany odpowiadały potrzebom dorastających pokoleń. Nie przychodzi nam do głowy forma prozatorska łatwiejsza w odbiorze niż kryminał.

Zarzuca się, że moje książki nie są kryminałami.

My wierzymy autorowi.

Całe życie słuchałem muzyki, całe życie czytałem kryminały. Nie jestem Olgą Tokarczuk, która zauważywszy, że są popularne i już nie wstyd tego robić, nagle pisze kryminał, w dodatku ekologiczny. Powtarzam: całe życie, od nastoletności, czytam wyłącznie kryminały, raz na kwartał sięgam po jakąś inną książkę, która przynajmniej drobny wątek kryminalny musi mieć. Nie czytam poezji. Nie będę udawał, że interesuję się eseistyką. Nigdy w życiu nie napiszę felietonów, esejów...

Jedną z moich pierwszych ulubionych piosenek były Świerszcze. I teraz myślę o spektaklu Piny Bausch, która, by pokazać, że niemożliwe jest porozumienie między kobietą i mężczyzną, wprowadziła na scenę hipopotama i kobietę.

Ich porozumienie jest równie niemożliwe.

Czy o tym są Świerszcze? Czy Pan też ma wrażenie, że nie możemy się dogadać?

O tym są Świerszcze, o genetycznych albo danych przez Boga różnicach. To nic negatywnego, pewna niemożność i już.

To powód do smutku?

Nie, to jednocześnie smutna i sentymentalno-wesoła konstatacja, że do końca nie da się... Nawet nie chodzi tylko o kobietę i mężczyznę, ale o człowieka i człowieka.

Czasem, kiedy czyta się Pana poezję, można odnieść wrażenie, że Pan sam czuje się zmęczony tą wielością Marcinów Świetlickich. „Cały pokój jest obwieszony Marcinałami”...

To wczesny wiersz, napisany, kiedy nie byłem jeszcze zmęczony Marcinem Świetlickim.

Czyli to narcystyczny wiersz?

Tak. Wszystkie wiersze mają bardzo proste wytłumaczenia. Kiedyś mieszkałem w małym mieszkaniu. Z powodu nerwicy wycinałem z papieru ludziki i obwiesiłem nimi pokój; taka dziwna zabawa. Zrobiłem ksero swojego zdjęcia, wycinałem z papieru i wieszałem. Chorobliwe. Odchodząc z „Tygodnika Powszechnego”, sześć czy siedem lat temu, zostawiłem przy wejściu takiego wiszącego człowieczka. Kiedy po jakimś czasie po coś poszedłem do redakcji, zobaczyłem, że jeszcze tam wisi... Pewnie teraz już go nie ma, bo przyszło nowe. Pewnie już żaden ślad po mnie tam nie pozostał.

W Pana kryminałach roi się od popkulturowych dziwadeł, karykatur. Tylko mistrz sprawia wrażenie człowieka prawego (mimo autoironii, jaką dostrzegamy w tej postaci, mimo że Pan się od mistrza odżegnuje).

Paweł Dunin-Wąsowicz ledwie przeczytał pierwszą stronę Dwanaście, gdzie kobieta odchodzi od mistrza, stwierdził, że wie, kim ona jest. Ja nie wiedziałem. Kobieta nie odchodziła ode mnie, tylko od bohatera. A Dunin wiedział +



dokładnie, na pewno miał jej zdjęcie i adres. Gdyby mógł, natychmiast wrzuciłby je na Facebooka. Tego bohatera mocno ze mną wiązano, a to kłopotliwe. On ma inną biografię, może zbliżony do mojego temperament i poglądy, ale zbliżone, nie te same.

Kim w takim razie jest mistrz?

Produktem. Wymyśliłem go. Z nową książką będzie wielki problem, bo pierwszoplanowy bohater jest człowiekiem głupim i złym. Ciekawe, czy znowu będą myśleć, że to ja. Na wszelki wypadek wymyśliłem drugoplanowego: jest mądry i dobry.

Ale to też kryminał?

Nie. Tę książkę można nazwać thrillerem.

Mistrz zatem nie podziela żadnych Pana doświadczeń?

Doświadczenia owszem. Ma moje wspomnienia wojskowe. Sukę ma podobną do mojej suki. Bohater nowej książki ma psa boksera. Lubię pisać o bokserach. Mało ich w literaturze światowej. Jeśli uda mi się znaleźć fragment o bokserze, wzruszam się.

No to pytanie szlag trafił, bo myślałyśmy, że Pan się bardziej z mistrzem identyfikuje.

Niektóre poglądy mam zbliżone, tylko mniej radykalne.

Gdybyśmy miały na czuja powiedzieć, kto mógł być dla Pana kiedyś ważny, to powiedziałybyśmy, że Białoszewski (z jego wersją banalizmu, z jego zabiegami, tak podobnymi do Jaśniej, ciemniej), Wojacek (m.in. kobiece „ja”) i Bursa (Anioł/Trup). To dobre tropy? Dobre tropy! Takich poetów, którymi się bardzo przejąłem, było około setki. Ale czytałem ich pomiędzy trzynastym a dwudziestym rokiem życia. Wiersze, prawdę mówiąc, są dla nastolatków.

To mogą być najważniejsze lata.

Wtedy przewaliłem potworne ilości poezji, a teraz mam wybór: albo niedobra poezja, której jest bardzo dużo, albo bardzo dobra, ale wtedy przeżywam potworne męczarnie, bo natychmiast zaczynam ją kopiować. Przeczytam frazę wybitnego poety, która mnie zauroczy, a później znajduję ją w swoim wierszu. Bardzo często przetwarzam. Wiele moich wierszy składa się z cytatów, nie tylko z poezji, również z prozy, z tego, co usłyszałem. Do autorstwa niektórych wierszy nawet nie jestem w stanie się przyznać, niektóre wiersze piszą za mnie ludzie. Tak jestem skonstruowany. Bardzo często się okazuje, że zapisuję coś, co tydzień wcześniej ktoś do mnie powiedział.

To chyba nic złego. Cudzystów niekiedy zanieczyszcza wiersz. A „gadane” powieści czyta Pan? Malicki, wcześniej Buczkowski?

Buczkowskiego czytałem właśnie w tym okresie, kiedy czytałem wiersze. Bardzo mi się podobał, później już do niego nie wróciłem.

Mówi Pan: kocham muzykę, więc robię muzykę. Od zawsze czytam kryminały, więc piszę kryminały. A – mówi Pan – poezji nie czytam, ale ją robię.

Coraz mniej. Robię, w pewnym sensie, z obowiązkami. Zawsze zresztą deklarowałem, że poezja nie umiera. W tej chwili myślę, że jeśli będę wydawał książki z wierszami, to co trzy-cztery lata. A piosenek na razie nie umiem pisać. Może wydam w przyszłym roku książkę z wierszami, na razie mam ich dziesięć. Jeden ładny wiersz zmarnowałem na prozę.

A da się zmarnować ładny wiersz na rysunki?

Rysunki są trochę dalej od poezji, to sprawa mechaniczna. Poza tym bardziej lubię obcować z obrazkami niż je rysować. To czynność, do której nie przykładam wagi.

Czy na współczesnej scenie literackiej dostrzega Pan poetów, którym można by postawić zarzut nieumiarkowania, rozgadania, uprawiania poetyckiego Big Brothera czyniącego interesującym jedzenie na wizji bułki z serem?

Naprawdę mało tych wierszy czytam... Powiem rzecz niepopularną, ale poeci-epigoni Andrzeja Sosnowskiego mają mnóstwo na sumieniu. Można wędrować po hermetycznych światach, proszę bardzo. Ale jeśli dostaję książkę składającą się wyłącznie z takich wędrowek, czuję się zaniepokojony. Ponadto straszliwie zenują mnie wiersze takiego kogoś, co się Jan, czy raczej chyba Jaś Kapela nazywa. Bardzo nieinteresująca postać.

„Zażdrość nie dotyczy poezji. Bardzo się cieszę, kiedy ktoś coś fajnego napisze” – powiedział Pan w jednym z wywiadów. Jak tam relacje z poetami z roczników '70? Pamiętam słowa organizatorów Festiwalu Młodej Poezji w Krakowie: „Nie zaprosiliśmy Podsiadły, nie zaprosiliśmy Świetlickiego [...], bo zanadto są, bo czujemy ich krępującą obecność”. Czy dziś dojrzał Pan do roli mecenasa młodych pokoleń? Młody człowiek po wydaniu debiutanckiej książki czuje się zobowiązany, by mi ją ofiarować. Czytam ją albo jej nie czytam, ale nie jestem kimś, kto potrafi oceniać. Owszem, wiem, kiedy coś jest bardzo niedobre, natomiast kiedy średnie, to właściwie nie potrafię zachęcić do dalszej pracy, nie poczytuję tego za mój obowiązek. Bardzo często moi główni polemiści to ci, których debiutami wzgardziłem, którzy najpierw się do mnie mizdrzyli. Myślę sobie: „skąd ja znam to nazwisko?” i znajduję książkę z czułą dedykacją. Ale z takimi rzeczami powinni się zgłaszać do Marianna Stali, Karola Maliszewskiego... Jak ktoś robi krzesła, nie ma sensu przynosić mu krzesła zrobionego przez siebie. Lepiej je zanieść komuś, kto go potrzebuje.

Czy dostrzega Pan młodszego poetę, który potrafi te krzesła robić doskonale?

Słabo się tym, naprawdę, interesuję. Ale jeśli już muszę wymieniać... O, jest przecież poeta Marcin Baran, dwa lata ode mnie młodszy [śmiech]. Na wielu się zawiodłem. Ceniłem, a przestałem. Ale nie wieszczę schyłku poezji, nie uważam, że w „moich” czasach było lepiej. Za „moich” czasów było równie dobrze.

Już nie jako czytelnikowi, ale jako znajomemu, przyjacielowi, bliżej Panu do tych piszących z formacji pokolenia „bruLionu”, czy do nowofalowców, takich jak Ryszard Krynicki, Stanisław Barańczak?

Nie jest mi bliżej do nikogo. Nowofalowcy, jak Ryszard Krynicki, to dla mnie ważny punkt odniesienia. Ale tylko punkt odniesienia. Natomiast rówieśnicy? Nawet wtedy, w tych heroicznych czasach, nie odczuwałem jedności. Oni pisali swoje, ja pisałem swoje. Być może posługiwaliśmy się podobnymi kodami, ale teraz już nie. Był moment, że myśleliśmy podobnie. A dziś jesteśmy starzy i każdy myśli inaczej. Tak naprawdę nie czuję wspólnoty z nikim.

Skoro jesteśmy przy czasach heroicznych: w historii literatury często zestawia się przełom, który nastąpił w 1989 roku, z początkiem dwudziestolecia międzywojennego. Czy zgodziłby się Pan z obserwacją, że przełomy poetyckie były do siebie trochę podobne – odkrywały miejskość i prywatność, natomiast w tym ostatnim przełomie brakowało witalizmu, entuzjazmu, radości, nadziei.

Krzyś Jaworski jako poeta był bardzo witalny. Jacek Podsiadło był witalny i entuzjastyczny, ja byłem ponurak.

No właśnie. Dlaczego? Pan wiedział, że „bruLion” się skończy, że przyjdą czasy dyktatu wolnego rynku i wróci kulturalna centrala?

Nie wiedziałem. Chociaż jestem optymistą, wiem, że zawsze przychodzą gorsze czasy. Ale wiem też, że w tych gorszych czasach będzie się śpiewało.

Czy są teksty, które pisze Pan jako apokryfy biblijne? Nie wiem, czy to jest słuszne rozpoznanie, ale znajduję je głównie w Trzeciej połowie, wiążą się przede wszystkim z Pana synem.

Te wiersze rzeczywiście były pisane w okresie, kiedy miał dwa-trzy lata. W pierwszym wierszu pierwszej książki wałęsam motyw biblijny, jakby to była pierwsza strona Starego Testamentu. Często robię to zupełnie nieświadomie. Mam zakodowaną tradycję katolicką, posługuję się kodem, którego buddysta nie zrozumie. Szanuję kulturę. A Stary Testament i Nowy Testament to dla mnie głównie dzieła literackie, mocno osadzone w kulturze światowej.

A ma Pan swoje ulubione miejsca w Starym i Nowym Testamencie?  
[śmiech]

Data urodzin jest dla Pana podwójnie znacząca? To zabawa w mit. Urodziłem się dokładnie wtedy, kiedy pojawia się pierwsza gwiazdka, Mickiewicz podobno się w Wigilię nie urodził, ale tego dnia został zapisany w księgach parafialnych. Lepiej się urodzić tego samego dnia co Mickiewicz niż tego samego dnia co Słowacki.

Z tej okazji pogrywa sobie Pan z Mickiewiczem raz po raz.

Tak, o Słowackim wiem, że to wybitny poeta, ale go nie czytam. Natomiast do Mickiewicza jestem skłonny czasem zajrzeć. To jedna z pierwszych lektur poetyckich. Stał gruby tom na półce, podczytywałem go jako pięcio-, sześciolatek i to robiło na mnie wrażenie, Powrót taty – wzruszający. Gdybym przeczytał wtedy Beniowskiego, byłbym innym poetą.

Pański ulubiony bohater romantyczny?  
Gustaw-Konrad, Konrad-Gustaw.

EK: No, to hit. JR: Nie, to ta skłonność do teatralizacji.

Mam zakodowaną tradycję katolicką, posługuję się kodem, którego buddysta nie zrozumie. Szanuję kulturę. A Stary Testament i Nowy Testament to dla mnie głównie dzieła literackie, mocno osadzone w kulturze światowej.

I jeszcze Upiór z czwartej części. Bardzo wiele postaci pojawiających się w Dziadach. Guślarz... [śmiech].

To dlatego, że są dobrze zrobione, czy następuje identyfikacja?

Z nikim się nie identyfikuję. Jeżeli już, to z bohaterami książek kryminalnych. To też bohaterowie romantyczni w pewnym sensie.

A ucieszyłby się Pan czy obruszył, gdyby ktoś napisał tekst Świetlicki-błazen. Myślę o tradycji Stańczykowskiej.

Ucieszyłbym się. Mam świadomość, że robiąc to, co robię, muszę się wygłupiać. Wygłupiam się nierzadko podczas koncertów. Ludzie często biorą tę pozę na poważnie. Podrwiwam sobie z krytyków literackich. Lubię spotkać takiego krytyka bezpośrednio i sobie z niego pokpiwać.

To mamy zagadkę. Czyje to słowa: „Wiersz to jest rzecz bardzo poważna. [...] Pozwala na kontakt z własnym istnieniem, także z innymi formami i sposobami istnienia. Może nawet pozwala skontaktować się z Bogiem”. Czy Pan by się pod tym podpisał?

Nie.

A kto to napisał?  
Ja?

Nie. Jarosław Marek Rymkiewicz.  
Pierwsze zdanie brzmi dobrze, ale równie dobrze wiersz może być sprawą bardzo niepoważną.

Czyli nie przyszły jeszcze czasy, kiedy mogliby panowie usiąść razem i powiedzieć: kiedyś nie wiedzieliśmy jeszcze, że możemy się dogadać, ale dziś już wiemy, że możemy.

W pierwszym numerze pisma „Tygodnik Literacki”, które wychodziło na początku lat 90., częściowo związanego z „bruLionem”, ukazał się blok moich wierszy i teksty o nich napisali Marian Stala, Bronisław Maj i Jarosław Marek Rymkiewicz. Ten ostatni swój tekst napisał w duchu: „Panie Świetlicki, właściwie z czego robi się poezję, czy z tych pierdół, z jakich pan tworzy?”. I tam wiódł różne refleksje na temat smoka z wiersza Dla Jana Polkowskiego. Jego przemyślenia zawarte w tym tekście nijak miały się do tego, co Rymkiewicz – przecież wybitny poeta – robi teraz. Żądał ode mnie głębi, metafizyki, oderwania od konkretnych historyczno-politycznych.

Czy kiedykolwiek doświadczył Pan właściwego poetom lingwistycznym poczucia, że język nie jest narzędziem reprezentacji, że stawia opór, jest osobnym żywiołem? Czy ma Pan poczucie, że język naprawdę potrafi ogarnąć świat, czy wygina się nie w tę stronę?

Oczywiście, że język robi sam, co chce. Nie znam nikogo, o kim można by powiedzieć, że panuje nad językiem. To on wygina człowieka. A czy w związku z tym zgodziłby się Pan z przekonaniem niektórych krytyków, że wiedzie Pan z Andrzejem Sosnowskim spór o możliwości języka poetyckiego?

Często mnie stawiano w opozycji do różnych osób, sam się stawiałem w opozycji do różnych osób, ale to na potrzeby chwili. Najpierw byłem wielkim przeciwnikiem Koehlera, potem Podsiadły, później Polkowskiego. Często zestawiano mnie w różne pary, teraz często się

pojawiam w parze z Sosnowskim. Ale nie prowadzimy żadnego sporu. Nie ma się o co spierać.

Pan się dobrze czuje w zglobalizowanym społeczeństwie komunikacyjnym, w świecie laptopów, komórek i Internetu, tego wszystkiego, co przyspiesza, ale i rozgadnia komunikację? Biorę tylko to, co przydatne. Czyli nie za wiele.

Wierszem, który wzrusza mnie bardzo w Pana twórczości, jest Dom. Tamtego domu już nie ma? Miałem w swoim życiu ze dwadzieścia atrap domów. Przenosiłem się z miejsca na miejsce i dom, który próbowałem stworzyć, zostawał częściowo w piwnicach, częściowo na strychach. Wszystko mam rozpierniczone po tym mieście i po innych miastach. Jakieś listy, płyty, książki. A i teraz być może znowu trzeba będzie gdzieś jechać. Mam poważne marzenie o osiedleniu się, odnalezieniu miejsca, ale z drugiej strony, mając miejsce, nie do końca go pilnuję i nie do końca o nie dbam. To jakieś przekleństwo. Często śnię o jakimś mieszkaniu. Idę tam, znajduję zdjęcia, listy, kartki, których nie pamiętam. Wiem, że dotykali ich obcy ludzie, więc to już właściwie nie moje. Nie biorę tego, mam dziwne poczucie, że roztrwoiłem swoje życie po jakichś domach, po różnych ludziach.

Kategoria przestrzeni, miejsca, wydaje się bardzo ważna dla Pana poezji.

Tak, nieosiągalna przestrzeń; przestrzeń, w której nigdy do końca się nie będzie.

A to by oznaczało, że prawdą jest rozpoznanie Maliszewskiego, iż Kraków ostatnio jest dla Pana „uprzykrzony i dołujący”.

Zwłaszcza w tym roku mam poczucie, że Kraków jest już nie dla mnie. Mieszkam na Małym Rynku. Miasto w centrum się całkowicie wyludniło. Przez całe lato trwała jedna wielka impreza pod patronatem prezydenta miasta, profesora Jacka Majchrowskiego. Była scena oświetlona +

tysiącem świateł, prezentowali się różni pieśniarze, kobiety z wąsami i brodami, pięcioletnie niepełnosprawne dzieci grające na pianinkach. Stało pięć-dziesięć osób, przechodzili turyści. Tu, w centrum, nie ma już nikogo, czuję się jak jakiś upiór, bo pamiętam czasy, kiedy to miejsce żyło. A teraz jakbym żył w ruinach. Kraków żyje, ale w sposób, który mnie słabo dotyczy. Mistrz z książki na książkę był coraz bardziej zmęczony tym miastem i to pewnie też mój stan. Od siedmiu lat mieszkam w centrum i jest jakoś dziwnie. Kraków nigdy nie był całkowicie bezpieczną i oswojoną przeze mnie przestrzenią, ale robi się coraz gorzej.

Pan wydał też książkę o Berlinie, której nie mogliśmy nigdzie znaleźć.

Bo to nie jest książka. To opakowany w tekturkę jeden wiersz, wydany w kilkunastu chyba egzemplarzach.

Czyli Berlin też nie jest miastem, w którym mógłby Pan mieszkać.

Byłem tam przez trzy miesiące i napisałem tylko ten jeden wiersz.

Ale spacerowiczem, flâneurem Pan jest...

Byłem, teraz głównie siedzę w domu, bo co wyjdę na miasto, to zaczynają się kłopoty.

Głośno, ostro, kwaśno mówił Pan o zawłaszczaniu indywidualności, kradzieży wolności w przestrzeni publicznej. Cicho mówi Pan o miłości i śmierci. I ten szept wydaje mi się potrzebny, szczególnie jeśli zdarza się Panu mówić o wolności. Na przykład w wierszu Śmierć pisze Pan o wolności. Królicza wolność kończy się śmiercią.

Miałem kilka lat, gdy hodowałem króliki. Miały imiona różnych mitologicznych bohaterów: Penelopa, Odys, Telemach. Kiedyś wróciłem do domu pod wieczór, króliki uciekły i rozwłóczyło ich ciała po całym ogrodzie jakieś dzikie zwierzę. Na zewnątrz czekał na nie potwór,

pewnie pies. Kiedy pisałem ten wiersz jako dwudziestoparolatek, próbowałem nazwać, na czym polega lęk przed śmiercią. Wtedy nie wierzyłem w śmierć, tylko teoretyzowałem. Teraz już wierzę.

A potrafiłby Pan wskazać moment, kiedy przestraszył się jej naprawdę?

Na pewno po czterdziestce [śmiech]. Teraz to nie jest już takie dziecinne wymyślanie, czuję jej symptomy.

„Spuchł, przytył, osiwił”?

Takie symptomy fizyczno-fizjologiczne też, ale na przykład nie mam już potrzeby wyjeżdżania. Coraz mniej potrzeb.

Ale nie czuje Pan, że im jest starszy, tym dojrzałe, lepsze stają się Pańskie wiersze?

W przyszłym roku prawdopodobnie ukażą się moje wiersze zebrane. Przygotowując się do tego, dostrzegam, że moje młodzieńcze wiersze były całkiem niezłe. Nadal jakoś je rozumiem. Ale zauważam mnóstwo niepotrzebnych słów. Może ładnych i znaczących, ale kompletnie niepotrzebnych. Teraz piszę krótkimi, wyrazistymi zdaniem, może na tym polega dojrzałość. Ale z drugiej strony, jest to też podyktowane fizjologią, człowiekowi już się nie chce bredzić. Już nie uważa, że ktoś potrzebuje wesołego paplania.

Przygotowując reedycję, skreśla Pan? Zmienia te poprzednie wiersze?

Nie. W książce będzie dziewięć oryginalnych tomików poetyckich po kolei, a później bonusy: inne wersje wierszy i kilkadziesiąt tekstów niepublikowanych. Nie zamierzam niczego zmieniać. Niepublikowane przebrałem tak, że wstydu nie ma. Wydam to w wydawnictwie EMG, nie w Biurze Literackim czy Znaku.

Wracając do dojrzałości, obok coraz bardziej skondensowanej frazy dostrzegamy jeszcze jeden jej symptom – troskę o bliźniego.

Pisze Pan w wierszu Żegnanie:

„Czy krzewiąc siebie / usiłowałem krzywdzić innych”.

A to jakaś parodia Miłosza, o ile dobrze pamiętam [śmiech]. Jak to tam było? „Który skrzywiłeś człowieka prostego...”?

I nic więcej? Przecież jest tylu ludzi, którzy „mówią Świetlickim”...

Zdarzało mi się wielokrotnie skrzywiać ludzi. Wielu ma o to do mnie pretensje, ale to się brało z ich słabości.

Nie powiedział Pan nam wiele o swojej religijności.

Bo to Bonowicza trzeba spytać, on wymyślił moją religijność. Nie dowierzałem, że aż tyle jej znajdzie się w moich wierszach. On to robił trochę na wyrost, posługując się swoim poczuciem religijności. Na przykład skoro w wierszach nie nawoływałem do mordowania, on uznawał, że to wiersz religijny. Trzydzieści lat pracowałem w korekcie „Tygodnika Powszechnego” i wyznawałem się wtedy znakomicie na Duchu Świętym, dylematach w rodzaju: czy komunie do rączki, czy do buzi. Kiedy przestałem tam pracować, uznałem, że świat wcale nie kręci się dookoła tego.

Pisze się o Panu, że nowy język poezji, drwina ze stylu wysokiego jest w większości Pańską zasługą lub winą. Czy mimo swojego „barbarzyństwa” wierzy Pan w istnienie piękna w poezji?

Oczywiście, że wierzę. Są rzeczy, które udają piękno, i wtedy jest problem. Ale poezja też może być piękna.

Pańska poezja?

Moja to co najwyżej cudowna [śmiech]. Część z tego, co się pisze, robi się po to, żeby ładnie było na świecie. Nie da się zaprzeczyć. Jak coś

jest ładnie powiedziane, to sprawia przyjemność. I czasami to przychodzi nieświadomie. To na pewno nie jest cel. Raczej jestem za tym, żeby poezja znaczyła. U nas w Polsce, w porównaniu na przykład z literaturą anglosaską, bardzo mało w wierszach opowiada się historii. Bardzo sobie cenię Leśmiana, który opowiadał w swoich wierszach historie, Mickiewicza. A taki Norwid to już nie umiał historii opowiadać. Białośzewski opowiadał doskonale historie na sposób bardzo nowoczesny, Bursa też opowiadał...

[Tu padło pytanie o „Krytykę Polityczną”, ale Świetlicki zbagatelizował ten tak ważny dla współczesnej kultury i społeczeństwa ruch umysłowy, ponadto w Księgarni Hiszpańskiej w Małym Rynku w Krakowie, gdzie wywiad był przeprowadzany, pojawili się goście, między innymi były wydawca Marcina Świetlickiego, Paweł Dunin-Wąsowicz i obecny wydawca, Irek Grin, toteż siłą rzeczy wywiad nie dało się kontynuować]. ●



Publikowana rozmowa jest fragmentem książki „PIERWSZA POŁOWA MARCINA. Szkice o twórczości Marcina Świetlickiego pod redakcją Emilii Kledzik i Joanny Roszak”, która niebawem ukaże się w Bibliotece Czasu Kultury.